

Po awansie na oficera, pewnego wrześnieowego poranka Giovanni Drogo wyjechał z miasta, aby dotrzeć do Fortecy Bastiani, swego pierwszego miejsca przeznaczenia.

Kazał się obudzić jeszcze przed świtem i po raz pierwszy wkładał mundur porucznika. Kiedy skończył, w świetle lampy naftowej przejrzał się w lustrze, nie czując jednak spodziewanej radości. W domu panowała cisza, jedynie z sąsiedniego pokoju dobiegały jakieś szmery; to właśnie wstawała mama, żeby go pożegnać.

Tak wyglądał dzień oczekiwany od lat, początek prawdziwego życia. Myślał o ponurych dniach w Akademii Wojskowej; przypominały mu się gorzkie wieczory wypełnione nauką, gdy słyszał, jak ludzie wolni i prawdopodobnie szczęśliwi spacerowali po ulicach, jak również zimowe pobudki w lodowatych sypialniach, gdzie czaił się koszmar możliwych kar. Wspominał ból, z jakim liczył kolejne dni, które zdawały się nie mieć końca.

Wreszcie został oficerem, nie musiał już ślęczeć nad książkami i bać się głosu sierżanta: to wszystko minęło. Wszystkie owe dni, które wydawały mu się tak obmierzłe, skończyły się na zawsze, upłynęły w postaci miesięcy i lat, które się więcej nie powtórzą. Tak, teraz jest oficerem, będzie miał pieniądze, może nawet piękne kobiety zaczną się za nim oglądać, lecz w gruncie rzeczy – pomyślał Giovanni Drogo – najlepsze czasy, pierwsza młodość, przypuszczalnie już przeminęły. Tak więc Drogo wpatrywał się w lustro, widząc wymuszony uśmiech na twarzy, którą na próżno usiłował polubić.

Jakież to głupie: czemu nie udawało mu się uśmiechać z należytą beztroską w chwili, kiedy żegnał matkę? Dlaczego

nie docierały do niego nawet jej ostatnie wskazówki, a odbierał tylko dźwięk głosu, tak znanego i życzliwego? Czemu kręcił się po pokoju, nerwowo bez powodu, nie mogąc odnaleźć zegarka, szpicruty ani czapki, znajdujących się jednak na właściwym miejscu? Przecież nie wyjeżdżał na wojnę! Dziesiątki poruczników takich jak on, jego starych druhów, o tej samej godzinie opuszczało dom rodzinny, śmiejąc się wesoło, jakby szli na zabawę. Dlaczego z jego ust płynęły ku matce tylko ogólnikowe frazesy, pozbawione sensu, zamiast czułych i uspokajających słów? Gorycz opuszczania po raz pierwszy starego domu, w którym zrodziły się wszelkie nadzieje i obawy, jakie przynosi z sobą każda zmiana, oraz emocje wywołane rozstaniem z matką całkowicie wypełniały jego serce, lecz nad wszystkim ciążyła uporczywa myśl, której nie potrafił określić, niczym niejasne przecucie czegoś złowróżbnego, jakby miał rozpocząć podróż bez powrotu.

Przyjaciel Francesco Vescovi towarzyszył mu konno na pierwszym odcinku drogi. Tętent kopyt odbijał się echem na pustych gościńcach. Świtało, miasto jeszcze pogrążone było we śnie, tu i ówdzie na ostatnich piętrach otwierały się okiennice, ukazywały się zmęczone twarze, zaś apatyczne oczy przez moment wpatrywały się w cudowne narodziny słońca.

Obaj przyjaciele milczeli. Drogo zastanawiał się, jaka może być Forteca Bastiani, lecz nie potrafił jej sobie wyobrazić. Nawet nie wiedział dokładnie, gdzie się znajduje ani jak długo trzeba do niej jechać. Niektórzy mówili, że cały dzień konno, inni, że krócej; żaden z tych, których pytał, nigdy jeszcze tam nie był.

U bram miasta Vescovi zaczął z ożywieniem mówić o zwyczajnych sprawach, jakby Drogo udawał się na przejażdżkę. A potem w pewnej chwili zapytał:

- Czy widzisz tę porośniętą trawą górę? Tak, właśnie tę. A budowlę na szczycie? To już kawałek Fortecy, ta wysunięta reduta. Pamiętam, że przechodziłem tamtędy dwa lata temu z wujem, w drodze na polowanie.

Tymczasem wyjechali już z miasta. Zaczynały się kukurydziane pola, łąki, czerwone jesienne lasy. Białą, skąpaną w słońcu drogą posuwali się obaj ramię w ramię. Giovanni i Francesco byli przyjaciółmi żyłymi z sobą od wielu lat, łączyły ich te same zamiłowania, te same przyjaźnie; codziennie widziano ich razem, potem Vescovi się roztył, a Drogo został oficerem i teraz zrozumiał, jak daleki stał mu się tamten. Całe to życie, łatwe i wystawne, miał już za sobą, oczekiwały go rzeczy ważne i nieznane. Nawet konie – miał wrażenie – posuwały się już innym krokiem; tętent jego wierzchowca, nie tak lekki i żywy jak Francesca, ujawniał obawę i zmęczenie, jakby również zwierzę czuło, że ich życie miało ulec zmianie.

Zbliżali się do wierzchołka stromego zbocza. Drogo odwrócił się, aby obejrzeć miasto pod światło; poranne dymy unosiły się z dachów. Zobaczył z daleka swój dom. Dostrzegł okno pokoju. Przypuszczalnie było otwarte, a kobiety zaczęły już sprzątać. Zaraz zbiorą pościel, zamkną pozostałe rzeczy w szafie i zaryglują okiennice. Miesiącami nikt tam nie zagości z wyjątkiem niestrudzonego kurzu czy drobnych smug światła w słoneczne dni. Oto zamknięty w ciemności światek jego dzieciństwa. Zostanie przechowany przez matkę, aby on po powrocie mógł się w nim odnaleźć, pozostać chłopcem nawet po długiej nieobecności; och, jakże się łudziła, że zdoła zachować nienaruszone szczęście, które

ucieкло już na zawsze, że powstrzyma przepływ czasu, a otwierając znowu drzwi i okna na powrót syna, przywróci wszystko do dawnego porządku.

W tym miejscu przyjaciel Vescovi pożegnał go serdecznie i Drogo ruszył dalej, teraz już w pojedynkę zbliżając się do łańcucha gór. Słońce stanęło w zenicie, gdy dotarł do kotliny prowadzącej do Fortecy. Z prawej, na szczycie, dostrzegł redutę, którą pokazał mu Vescovi. Nie odniósł wrażenia, żeby było do niej daleko.

Pragnąc dojechać jak najszybciej, Drogo nie zatrzymał się na popas, spał ostrogą zmęczonego konia, kierując go na drogę jeszcze bardziej stromą, przebiegającą wśród urwistych stoków. Do spotkań dochodziło jednak coraz rzadziej. Jakiegoś woźnicę Giovanni zapytał, jak długo jeszcze trzeba jechać do Fortecy.

- Fortecy? – powtórzył tamten. – Jakiej fortecy?

- Fortecy Bastiani – odparł Drogo.

- W tych stronach nie ma fortec – rzekł woźnica. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Najwidoczniej był źle poinformowany. Drogo ruszył dalej i w miarę jak upływało popołudnie, zaczął odczuwać lekką obawę. Wpatrywał się uważnie w wysokie zbocza kotliny, chcąc odnaleźć Fortecę. Wyobrażał ją sobie jako rodzaj starożytnego zamku ze strzelistymi murami obronnymi. Mijały kolejne godziny i coraz silniej był przekonany, że Francesco udzielił mu błędnej informacji; reduta, którą mu pokazał, chyba już dawno została daleko z tyłu. A tymczasem zbliżał się wieczór.

Spójrzcie, oto Giovanni Drogo i jego koń: jacy mali na zboczu gór, coraz większych i dzikszych. Wspina się nadal, aby dotrzeć do Fortecy jeszcze w ciągu dnia, lecz z głębi, gdzie szumi potok, szybsze od niego wyłaniają się cienie. W pewnej

chwili znajdują się na wysokości Droga, na przeciwnym stoku kotliny, i wydaje się, że na moment zwalniają biegu, jakby nie chcąc odbierać mu otuchy, po czym znów wpelzają w górę po urwiskach i głazach, a jeździec zostaje na dole.

Całą kotlinę wypełnił już fioletowawy mrok, jedynie obnażone szczyty, porośłe trawą, na niewiarygodnej wysokości oświetlone były słońcem, kiedy Drogo znieścacka znalazł się przed nią, czarną i olbrzymią na tle czystego wieczornego nieba: była to budowla wojskowa, sprawiająca wrażenie przastarej i opuszczonej. Giovanni poczuł bicie serca, ponieważ musiała to być Forteca, lecz wszystko, od murów aż do krajobrazu, tchnęło atmosferą niegościnną i złowrogą.

Obszedł ją wkoło, ale nie znalazł wejścia. Mimo że było już ciemno, światło nie paliło się jeszcze w żadnym oknie ani nie można było dostrzec świateł warty na skraju murów. Jedynie nietoperz przemykał na tle białej chmury. W końcu Drogo odważył się krzyknąć:

– Hej! – zawołał. – Jest tam kto?

Z cienia spowijającego podnóże murów wyszedł mężczyzna, jakiś włóczęga czy biedak, z siwą brodą i małym workiem w ręku. W półmroku jednak nie było go dobrze widać, tylko białka oczu mu błyszczały. Drogo spojrzał na niego z wdzięcznością.

– Kogo pan szuka? – zapytał.

– Szukam Fortecy. Czy to tu?

– Tu nie ma już forticy – odparł nieznajomy dobronliwym głosem. – Wszystko pozamykane, będzie z dziesięć lat, odkąd nikogo nie ma.

– Więc gdzie jest Forteca? – spytał Drogo, nagle rozzłoszczony na rozmówcę.

– Która fortica? Może tamta? – Nieznajomy wyciągnął rękę, na coś wskazując.

W szparze między pobliskimi urwiskami, już skąpany-
mi w mroku, za płataniną szczytów, w bliżej nieokreślonej
odległości, jakby za sprawą czarów Giovanni Drogo ujrzał
nagie wzgórze, jeszcze zanurzone w czerwieni zachodzące-
go słońca, a na jego krańcu smugę regularną i geometryczną,
w szczególnym, żółtawym kolorze: zarys Fortecy.

Och, jak daleko jeszcze! Któż wie, ile godzin drogi, a jego
koń był już bardzo zmęczony. Drogo wpatrywał się w nią
zafascynowany, w duchu pytając siebie, co takiego mogło
być w tej samotnej twierdzy, prawie niedostępnej, odsepa-
rowanej od świata. Jakie skrywała tajemnice? Były to jednak
ostatnie chwile. Gasnące promienie słońca powoli opusz-
czały odległe wzgórze, a po żółtych bastionach coraz wyżej
pięły się sine cienie zbliżającej się nocy.